

Habielski, Rafał

Mistrz reportażu (Melchior Wańkowicz)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/3-4, 230-235

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

RAFAŁ HABIELSKI

MISTRZ REPORTAŻU (MELCHIOR WAŃKOWICZ)

Pisać o Wańkowiczu jest trudno, dużo łatwiej go czytać. Nie funkcjonował w obrębie żadnej szkoły bądź grupy literackiej, nie był przez dłuższy czas związany z żadnym pismem, nie poddawał się snobizmom ani modom. Napisał natomiast ponad czterdzieści książek, a literatura poświęcona jego osobie jest więcej niż skromna. Nie był lubiany przez kolegów po piórze, stąd śladowa liczba wspomnień poświęconych jego osobie. Trudność dodatkowa to czas, w którym żył i pisał, czas przedzielony najważniejszymi cezurami polskiej współczesności, latami 1939, 1945, 1956. Każda z tych dat zamykała okres życia Wańkowicza, będąc jednocześnie cezurą chronologiczną i tematyczną jego twórczości.

Z trzech wielkich rozdziałów w życiu Wańkowicza najistoniejszy był chyba ten zakończony wrześniem 1939 r. W dwudziestolecie międzywojenne wszedł jako człowiek dwudziestosześcioletni, typowy, rzecz można, przedstawiciel wysadzonej z siodła klasy. Za sobą miał studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i w krakowskiej Szkole Nauk Politycznych, walki w oddziałach gen. Dowbora-Muśnickiego i wojnę 1920 r. To barwna i bogata biografia, zważywszy wiek Wańkowicza, niemniej jednak nie przeszłość stała się inspiracją jego pisarstwa.

Kresy, te mieszczące się w granicach II Rzeczypospolitej i te odleglejsze, sięgające po Witebsk i Kamieniec Podolski, rodziły ludzi znakomicie władających piórem. Przyczyną sprawczą był najwyraźniej *genius loci*, bo o inne wytłumaczenie trudno. Ksawery Pruszyński, bracia Bocheńscy, Zbyszewscy i Mackiewicz, także Wańkowicz — to dowody nie do zbicia. W tym ostatnim przypadku środowisko i miejsce urodzenia zaważyły nie na wyborze tematów i zainteresowaniach, Wańkowicz świadomie dystansował się od tradycji i etosu ziemiańskiego, lecz na stylistyce i formie pisarstwa. Konwencję gawędy szlacheckiej, mieszczącej w sobie dygresję i anegdotę, obok moralizatorstwa, zabawy i wzruszenia, gawędy stylizowanej na wypowiedź autentycznego świadka relacjonowanych zdarzeń, pisanej przy tym kwiecistą, barokową frazą, wyniósł Wańkowicz z domu rodzinnego. Drugą, nie mniej ważną cechą osobowości Wańkowicza, mającą wpływ na jego twórczą biografię, była ciekawość i swoista wrażliwość. Stąd już tylko krok do opowieści reportażowej, gatunku, w którym doszedł do niekwestionowanego mistrzostwa.

Debiutował właściwie późno i potrzebne było do tego własne wydawnictwo – Rój – które założył i prowadził do spółki z Marianem Kisterem. Nie można powiedzieć, że jego pierwsze książki przeszły nie zauważone, na pewno jednak nie przysporzyły mu popularności. Przełom miał miejsce dopiero w 1934 r., kiedy ukazały się wspomnieniowe *Szczenięce lata* oraz efekt podróży do Rosji, obszerny reportaż *Opierzona rewolucja*. Pisarzem znanym, a zarazem mistrzem reportażu – mogącym konkurować ze święcącym ówczesnie sukcesy Konradem Wrzosem – stał się Wańkowicz za sprawą książki o nieatrakcyjnej na pozór tematyce – *Na tropach Smetka*. Opis mającej miejsce w 1935 r. podróży po Warmii i Mazurach, będący świadectwem polskości tych ziem, podróży pokazującej kraj, jego przyrodę i ludzi, a odbytej kajakiem w towarzystwie córki, jako pomysł na książkowy bestseller wydawał się niespecjalnie trafny. Prusy Wschodnie były niegdyś kresami Rzeczypospolitej, ale uwagę i emocje budziły u Polaków przede wszystkim te „prawdziwe” kresy wschodnie. W przeprowadzonym w lipcu 1920 r. plebiscycie za przynależnością tych ziem do Niemiec padło ok. 95% głosów i zdawało się, że problem ten był społeczeństwu polskiemu jeśli nie obcy, to przynajmniej obojętny. Okazało się to nieprawdą, a przekonała o tym właśnie książka Wańkowicza. Pozornie nieatrakcyjny temat zyskał pod jego piórem walor bliskości i wagi, przypominając o przeszłości i znaczeniu tych ziem. Po raz pierwszy dał tu znać o sobie społeczny słuch Wańkowicza, wyczucie rzeczywistej ważności tematu i umiejętności odkrycia nie uzewnętrznianych dotąd zainteresowań.

Poczytność i swoistą sławę zyskała jednak ta książka nie tylko za sprawą tematu. Ważniejszy był, być może, sposób narracji Wańkowicza. Prócz zalet jego swoistego języka *Na tropach Smetka* robiło wrażenie opowieści wiarygodnej. Historię i współczesność podparł bowiem tabelami i procentami, przedstawiając obok szczegółowy opis budowy kajaka, którym podróżował. To było coś nowego, coś trafiającego do czytelników biorących do rąk książkę, która była lekturą lekką, ale jednocześnie ważną, niepowierzchną, książkę, w której talent pisarski spotkał się z solidnym warsztatowym przygotowaniem.

Zachęcony powodzeniem zwrócił się Wańkowicz ku tematowi podobnie pozornie nieatrakcyjnemu – napisał książkę o Centralnym Okręgu Przemysłowym. *Sztafeta* książka o polskim pochodzie gospodarczym, wydana w 1929 r., była jakoby rozwinięciem talentów i pomysłów wykorzystanych przy pisaniu *Smetka*. Geneza sukcesu była tutaj także podobna. Ważny, choć w społecznej świadomości przesłonięty innymi sprawami temat, który nie doczekał się jeszcze swego dziejopisarza. COP, położony w widłach Wisły i Sanu ośrodek przemysłu maszynowego i zbrojeniowego, był najważniejszą inwestycją dwudziestolecia międzywojennego i stanowić miał dla państwa nie tylko „ognisko siły”, ale także dowód efektywności epigonów Piłsudskiego, budujących silną i mocarstwową Polskę. Nagromadzenie faktów, nazwisk, cyfr, procentów, tabel i fachowych terminów miało dać czytelnikowi gwarancję prawdy i wiarygodności książki. Ale *Sztafeta* robiła wrażenie nie tylko kompetencją autora, lecz przede wszystkim rozmachem edytorskim. Dziesiątki

zdjęć, wykresy i fotomontaże, wszystko to miało przekonać czytelnika nie tylko o atrakcyjności książki, ale i o znaczeniu opisywanych w niej spraw.

Byłby to kolejny sukces Wańkowicza, gdyby nie fakt, że tezy książki w kilka miesięcy po jej ukazaniu się zostały poddane weryfikacji najsurowszej — ciśnieniu czasu. Wrzesień 1939 dowiódł iluzoryczności siły COP-u, podobnie jak iluzoryczna okazała się siła armii i państwa. Dla poszukiwanego przez gestapo za *Smętka* Wańkowicza decyzja o opuszczeniu Polski była niejako naturalna, choć niełatwa. Chciał dotrzeć do Paryża, nie przewidując jednak, że także on sam zapłacić będzie musiał cenę za łudzenie siłą i mocarstwowością. Nowy, instalujący się w Paryżu rząd nie życzył sobie, by do Francji ściągali ludzie, którzy legitymowali oskarżony o spowodowanie katastrofy reżim. Za jednego z nich uchodził zaś Wańkowicz. Nie zapomniano mu niefortunnego wystąpienia przeciw prof. Cywińskiemu, którego sprawie poświęcił wydaną własnym sumptem broszurę i w której wypowiedział słowa, jak się później okazało, bardzo nieostrożne. „Bez Brześcia — pisał — mielibyśmy w Polsce Hiszpanię”. *Odpowiadam Cywińskiemu*, bo taki tytuł nosiła inkryminowana broszura, jest zatem w jakiś sposób kluczem do wojennych losów Wańkowicza. Mógł pojechać do Paryża, po klęsce Francji zaś znaleźć się w Londynie i rej wodzić w tamtejszej prasie. Odmowa wizy francuskiej, co miało miejsce za sprawą polskich czynników rządowych, spowodowała, że po pobycie na Węgrzech i w Rumunii spędził jakiś czas na Cyprze, przedostając się następnie na Bliski Wschód. Tam m. in. powstał, wydany po wojnie *Wrzesień żagwiący* i *De profundis*, książka poruszająca problem żydowski, napisana pod wrażeniem wędrówek po Palestynie. W 1944 r. w charakterze korespondenta przeprowił się wraz z II Korpusem do Włoch, stając się bezpośrednim świadkiem walk o Monte Cassino.

Pomysł podjęcia się opisu przebiegu bitwy nie może budzić zdziwienia. Po raz kolejny przypomniał o sobie reporterski słuch Wańkowicza, umiającego ocenić znaczenie tematu. Ten był jednak zupełnie wyjątkowy, stąd też pomysł nadania niezwykle kształtu książce. Trzy tomy *Bitwy o Monte Cassino* ukazały się w latach 1945—1947, a Wańkowicz korzystając z pomocy m.in. Stanisława Gliwy, wyposażył dzieło w prawie 2 tys. ilustracji, ok. 1000 fotografii, blisko 600 portretów uczestników bitwy, setki rysunków, mapy, zdjęcia lotnicze, panoramy fotograficzne, fotomontaże oraz kilka barwnych mapek sytuacyjnych; indeks zawierał ponad 1500 nazwisk. Same liczby wskazują zatem na rozmach książki wydanej w niełatwych warunkach wojennych. Jednak imponujący po dziś dzień edytorski kształt *Bitwy* nie przesłonił jej walorów literackich. Można chyba zaryzykować tezę, że była to książka najważniejsza w dotychczasowym dorobku Wańkowicza, i chyba najistotniejsza ze wszystkich, które napisał. Opowieść reportażowa, gatunek, który na dobrą sprawę stworzył, został tutaj — w porównaniu ze *Smętkiem* czy *Sztafetą* — udoskonalony niezwykle frapującym tematem. Wańkowicz pisał *Bitwę* z pozycji bezpośredniego świadka wydarzeń, nie zawierzył jednak wyłącznie autopsji. Zbierał relacje od dowódców i żołnierzy, studiował plany

i założenia taktyczne. Ta uczestnicząca obserwacja, jakby powiedział socjolog, uzupełniona ekspresją języka, dała w efekcie książkę nie mającą równej w polskiej literaturze faktu, w której stopień emocjonalnego napięcia narracji wydaje się dorównywać opisywanym wypadkom.

Satysfakcję spowodowaną czytelniczym uznaniem dla *Bitwy* przyćmiła nieco trudniejsza niż wyjazd z Polski we wrześniu 1939 r. decyzja o pozostaniu na emigracji. Wydaje się, że los i powołanie wychodźcy nie były bliskie postawie życiowej, przede wszystkim zaś temperamentowi Wańkowicza. Był pisarzem ulegającym fascynacji działaniem się, tworzeniem, ruchem i wysiłkiem, nie zaś nostalgicznym rozpamiętywaniem przeszłości. Dlatego też emigracyjny rozdział jego twórczości, lata 1945–1956, wyjąwszy *Bitwę*, sprawia wrażenie ubogiego w książki mogące choćby konkurować ze *Sztafetą* czy *Na tropach Śmętka*. Opromienionemu sławą kronikarza II Korpusu, w składzie którego walczyli zesłańcy i łagiernicy, pozbawieni po wojnie możliwości powrotu do swych stron rodzinnych, nie wypadało Wańkowiczowi wracać do Polski bez Lwowa i Wilna.

Sam fakt pozostania poza Polską nie był jednak wystarczającą receptą na żywot pisarza-emigranta, tym bardziej że Wańkowicz, chcąc być jednak obecny w kraju, rozpoczął współpracę z wychodzącymi tam czasopismami. Popadł przez to w konflikt z emigracją, opowiadając się za niepodtrzymywaniem jakichkolwiek kontaktów z reżimem. Stał się zarazem, w Londynie niezłomnych i nieprzejednanych, człowiekiem w jakimś sensie niepotrzebnym, pisarzem nie umiejącym znaleźć tematu odpowiadającego zainteresowaniom i emocjom emigracji. Decyzja wyjazdu do Stanów Zjednoczonych była więc – jak należy sądzić – spowodowana właśnie brakiem kontaktu z wychodźczymi pasjami i resentymentami. Zrozumienia ani poczytności nie znalazły artykuły wydane w tomie *Kundlizm* (1947) czy nieco późniejszy *Klub trzeciego miejsca*. Emigracji wyznającej zasadę literatury i publicystyki walczącej, dającej świadectwo niewoli i tragicznego losu Polski, Wańkowicz nie mógł nic zaoferować; nie umiał, bądź po prostu nie chciał.

Powody, które doprowadziły do rozstania się z polskim Londynem i przeniesienia się za ocean, były więc także czynnikami sprawczymi powrotu do Polski. Na stałe miało to miejsce w 1958 r. Data ta zapoczątkowała także nowy etap biografii twórczej Wańkowicza, na który nie miały wpływ miała, rzecz jasna, sytuacja w kraju. Mimo zawiedzionych złudzeń, że Październik zdoła przekształcić Polskę w kraj rzeczywiście wolny i suwerenny, nowa polityka cenzuralna spowodowała, że nad Wisłą mogła ukazać się *Bitwa o Monte Cassino*. Książka prezentowała się dużo skromniej niż jej włoski pierwowzór, na domiar złego różniła się od niego nie tylko edytorsko, Wańkowicz zgodził się bowiem na niewielkie, ale znaczące przeróbki. Była to cena płacona za obecność w kraju, a także wskazówka na przyszłość. Pisarz bowiem szybko zdał sobie sprawę, że Polska lat sześćdziesiątych nie jest krajem, w którym możliwe byłoby, właśnie ze względów cenzuralnych, powstanie opowieści reportażowej, porównywalnej, jeśli chodzi o wnikliwość

i zwykłą rzetelność, ze *Sztafety*; choć — co paradoksalne — *Sztafeta* była przecież książką z gatunku literatury produkcyjnej, tak chętnie widzianej przez władze nie tylko w latach pięćdziesiątych. Doświadczenia z cenzurą pozwalały zatem sądzić, że reportaż o Polsce takiej, jaką była w rzeczywistości, nie miał szans na druk.

Swoj stosunek do polityki kulturalnej władz objawił Wańkowicz sygnując list 34, następnie odsiadując jakiś czas w więzieniu, nie znaczyło to jednak, że popadł w długotrwałą, grożący zakazem druku konflikt z władzami. Począwszy od 1956 r., do śmierci w 1974 r. ukazało się 17 jego książek, w większości wielokrotnie wznawianych. I aczkolwiek były wśród nich wydania rzeczy napisanych przed wojną bądź w czasie wojny, Wańkowicz, zorientowawszy się w panującym swoistym głodzie książki wolnej od natrętnej ideologii, pisał dużo, zyskując ponownie poczytność i popularność. Zmieniając czy też będąc zmuszonym okolicznościami do zmiany swoich zainteresowań pozostał przy tym otwarty na zainteresowania społeczne. Nie mogąc pisać o Polsce współczesnej postanowił napisać książkę, która w nie mniejszym stopniu potrafiła zawładnąć wyobraźnią i emocjami czytelnika, książkę o Ameryce. Ponad rok trwająca podróż po Stanach, lektury w bibliotece Kongresu i na Uniwersytecie w Stanford przyniosły efekt w postaci trylogii *W ślady Kolumba* (1967–1969). O Stanach Zjednoczonych pisać należało w owym czasie w tonie jednoznacznie negatywnym. Wojnę wietnamską uznali rodzimi cenzorzy i propagandiści za doskonały pretekst do deprecjacji kraju i jego cywilizacji. Próba ta — jak większość tego typu zabiegów — zakończyła się fiaskiem, a książka Wańkowicza, pisana podobnie do wszystkich jego reportaży piórem robiącym wrażenie bezstronności i obiektywizmu, zyskała sporą przychylność czytelników. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czas niewątpliwych „żniw” pisarza — jak zauważył jeden z krytyków jego twórczości — był równocześnie okresem największej chyba popularności Wańkowicza, chętnie przybierającego narzuconą mu, po trosze przez krytykę, po trosze przez czytelników, pozę człowieka-instytucji. Przez jakiś czas po jego śmierci wychodziły jeszcze tomy dzieł zebranych, ukazały się także żywo przyjęte tomy *Karafki La Fontaine’a*, lecz atencja okazywana pisarstwu Wańkowicza zdawała się z wolna zanikać. Nie miejsce tu na analizę przyczyn, dla których pisarstwo nie tylko autora *Sztafety*, lecz także Cata-Mackiewicza, Ksawerego Pruszyńskiego czy Adolfa Bocheńskiego jest całkowicie niezаслужenie, z wolna zapominane. Decydują tu pospołu zmieniające się gusta czytelnicze, moda i opcje wydawców; zapewne także prawo współczesności, preferujące książki i publicystykę nową, pisaną w innej konwencji stylistycznej i myślowej, prezentującą inny typ wrażliwości.

Nie wydaje się, by wszystkie książki Wańkowicza oparły się upływowi czasu. Obronią się na pewno te, w których ważność i atrakcyjność tematu szła w parze z rzetelnością warsztatu. Czytana po latach *Sztafeta*, obok *Na tropach Śmętka* czy *Bitwy o Monte Cassino*, okazuje się przecież nie tylko źródłem do dziejów polskiego reportażu. Każda z tych książek jest przede wszystkim

dokumentem, świadectwem czasu, zapisem historii. Mistrzostwo Wańkowicza polegało nie tylko na wspomnianej już rzadkiej umiejętności wyboru tematu, ale także na umiejętności odróżnienia tego co powszednie i krótkotrwałe od tego co istotne i ponadczasowe. Tym właśnie ocalał jeśli nie całe swoje piarstwo, to na pewno jego istotną część. Pisarstwa nieustannie żywego, robiącego nadal wrażenie niepowtarzalnym językiem, przede wszystkim zaś znaczeniem i swoistym uniwersalizmem tematu.

M. Kurzyna, *O Melchiorze Wańkowiczu nie wszystko*, Warszawa 1975; K. Kąkolewski, *Wańkowicz krzepi*, Warszawa 1973.